

Kijów trwa. Ukraina walczy

**Ostatnie 12 miesięcy
zmieniło świat.**

Wzrosło znaczenie
Polski, która odgrywa
szczególną rolę
w polityce USA.

str. 18-19



FOT. UKRINFORM/EAST NEWS

Ukraina oficjalnie nie podaje liczby żołnierzy, którzy zginęli w ciągu ostatniego roku wojny. Ale w wielu miastach wciąż przybywa grobów poległych. Podobnie jest w Charkowie. Na jednym z cmentarzy powstała Aleja Chwały, na której chowani są żołnierze pochodzący z tego miasta

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350-206



Ireneusz Markowski wie, że żołnierze koło Donbasu potrzebują nie tylko broni
str. 20-21

Osada Małych Gospodarzy. Świetny pomysł na zimowe ferie we Wróblowicach
str. 24

JUŻ DZISIAJ U NAS
DWA DODATKI
**MAGAZYN PULS
I TELEMAGAZYN**



Pomagać nauczył się w Afryce. Teraz jeździ na front, by nieść pomoc Ukraińcom

Mają pociski, mają broń, ale potrzebne są im wypełniacze - ciepłe rękawice, ogrzewacze, konserwy... Wszystko to, co jest potrzebne człowiekowi, który stoi w zimnie - mówi Ireneusz Markowski.

Nadia Szagdaj



I. Markowski: - Po traumie, którą przeżyłem cztery lata temu i mojej wizycie w Afryce, uznałem, że dwa samochody i dwa motory i wiele innych rzeczy to dla mnie za dużo

Ireneusz Markowski, założyciel i prezes wrocławskiej fundacji „Kapnij dla Afryki” odwiedził nas w studio „Gazety Wrocławskiej”. Rozmawialiśmy między innymi o jego działalności w Kenii, a także wyprawach na front, do objętej od roku wojną Ukrainy. - Pomagać trzeba umieć. Trzeba zrozumieć, że wszystkiego nie da się zrobić - podkreślał Markowski. Przeczytaj rozmowę z człowiekiem, który nauczył się pomagać, porzucając własne dobra materialne na rzecz obcych sobie ludzi. O dostawach na front w Ukrainie, studniach i sierocińcu w Kenii i samym podejściu do pomagania.

Nadia Szagdaj: Przedstawił się pan jako „po prostu Irek”. Ja chciałabym określić pana działaczem społecznym. Ale najlepiej, jeśli opowie pan o swojej działalności sam. Co robi pan w życiu?

Ireneusz Markowski: Mogę powiedzieć, że w moim „poprzednim” życiu byłem hulaką. Miałem narty, motor i kilka innych pasji. Cztery lata temu przeżyłem traumę związaną ze śmiercią taty. To mnie „poukładało”. Uznałem, że muszę coś ze swoim życiem zrobić. Wziąłem plecak i wróciłem do Afryki, którą odwiedziłem jako turysta. Spotkałem się tam ze znajomym i zapytałem, jak mogę mu pomóc.

A ten znajomy czym się zajmował?

Kiedyś łowił ryby, a potem organizował wycieczki dla turystów przy hotelach.

Czyli opowiedział panu o tym, o czym nie mówi się turystom?

Tak, wprowadził mnie w afrykańskie problemy. Pierwszą osobą, która mi o nich opowiedziała, była jego mama, która narzekała na bóle nóg. Okazało się, że ci ludzie chodzą codziennie po 7, po 10 kilometrów po wodę. Opowiadała mi o tym dość długo, aż w końcu dostałem przysłowiowym „jabłkiem z drzewa”. Uznałem, że chcę zostać i chcę tym ludziom dawać wodę.

Na których miejscach w Afryce, bo to przecież duży kontynent, skupia się pan najbardziej?

Obecnie na Kenii. Działalem w Ugandzie, Rwandzie i trochę w Kongo. Uznałem jednak na pewnym etapie, że wszystkim nie pomogę i skupiłem się na jednym miejscu.

Łatwo jest dojść do takiego wniosku: „wszystkim nie pomogę”?

Bardzo trudno. To są przeżycia. Wiadomo, człowiek na początku rzuca się na wszystko, a potem już wie, że ma pewne możliwości fi-

nansowe i czasowe. Lepiej pomóc jakiejś lokalnej społeczności, niż jeździć od miejsca do miejsca i pomocą „kapać”. Pomagać trzeba umieć.

Poruszyliśmy kwestię finansów i zaangażowania. Spróbujmy rozwinąć tę wątki. Skąd wziąć pieniądze na pomoc w Afryce, gdy jest się Polakiem?

Przez kilkanaście lat tworzyłem firmy, które montowały między innymi instalacje przy halach logistycznych. Udało mi się zgromadzić znaczne fundusze. Po traumie, którą przeżyłem cztery lata temu i mojej wizycie w Afryce, uznałem, że dwa samochody i dwa motory i wiele innych rzeczy to dla mnie za dużo. Bez sensu, kiedy na świecie są ludzie, którzy chorują, głodują, nie mają leków... Uznałem, że mogę coś im oddać.

Od siebie... ale czy są darczyńcy, którzy też pomagają?

Przez trzy lata wszystko finansowałem z moich własnych, prywatnych środków. Kilka naście studni, sierociniec, jedzenie. Od roku mam kilku darczyńców, dla których wybudowałem 6 indywidualnych studni. Ludzie po prostu widzą na fanpage' u fundacji „Kapnij dla Afryki” co robię.

Czyli sytuacja w Kenii została w miarę „opanowana”, kiedy bierzemy pod uwagę pańską działalność, bo przecież ustaliliśmy, że nie wszystkim da się pomóc. Ale jest inny kraj, w pomoc dla którego się pan zaangażował. Tam chyba w ogóle jest teraz ciężko. Myślimy o Ukrainie?

Dokładnie.

W lutym zeszłego roku wróciłem z Kenii. Moi znajomi Ukraińcy powiedzieli, że mają problem, bo chcą przewieźć coś do Lwowa, a nie mają ani samochodu ani nawet kierowcy, który odważyłby się tam pojechać. Mnie było prościej, bo cały czas ścieram się z konfliktami i napięciami w Afryce. Nie widziałem problemu, spakowałem samochód i jeszcze pod koniec lutego, w pierwszych dniach konfliktu, pojechałem z transportem do Lwowa.

24 lutego będzie miała miejsce ta wielka i ważna dla świata i nas, Polaków, rocznica. Co przez ten czas udało się panu zorganizować?

Wróć jeszcze do tego, że podczas mojej pierwszej wizyty w Ukrainie, kiedy zobaczyłem tysiące kobiet i dzieci na mrozie, z walizkami - oczywiście jeszcze po stronie ukraińskiej, dotarło do mnie, że świat się zmienił. Europa jeszcze śpi i nic nie wie, a ja to widzę na własne oczy. Dwa dni później wróciłem i uznałem, że

muszę teraz skupić się na Ukrainie, bo Afrykę mam w jakimś stopniu opanowaną. W ciągu półtora miesiąca zorganizowaliśmy 11 przejazdów, 35 samochodami. Z różnymi znajomymi organizowaliśmy towar, który zwoziliśmy od poniedziałku do piątku. W piątek wieczorem pakowaliśmy go i wieźliśmy w różne części Ukrainy.

A co wozicie i woziliście do Ukrainy?

Znów przydało się to doświadczenie z Afryki: „pomagać trzeba umieć”. Wiemy, że nie należy wszystkiego zawozić w jedno miejsce, bo wiadomo co się z tym stanie. Poza tym, warto spytać samych zainteresowanych, czego im najbardziej potrzeba. Dlatego teraz już, jak jeździmy na linię frontu, blisko Donbasu, najpierw dostajemy informację, czego potrzeba w przyfrontowym szpitalu i żołnierzom, a dopiero potem gromadzimy towar, z tym towarem jeździmy na front.

A jak się jest wojennym dostawcą na froncie?

Po pierwsze, jak się już wjeżdża do miejscowości objętej wojną (której nazwy nie podam, bo obiecałem), nikt się tobą nie interesuje. Ci ludzie mają taką traumę, że są jak widma. Spaliśmy w zimnym szpitalu przyfrontowym, w podziemiach, gdzie za ścianą był lej po bombie wyłożony workami z piaskiem. Ci ludzie ciągle chodzą z radiostacjami, bo w każdej chwili mogą dostać informację o tym, by uciekać. To miejsce jest tak blisko linii frontu! A w całym zamieszaniu, w tym zimnie próbując pomóc wszystkim rannym. Zawieźliśmy tam podgrzewacze dla pacjentów. Byli zszokowani. Lekarze przyznali, że część żołnierzy ginie z zimna. Druga część pomocy to ta dla żołnierzy. Oni mają pociski, mają broń, ale potrzebne są im wypełniacze - ciepłe rękawice, ogrzewacze, konserwy... Wszystko to, co jest potrzebne człowiekowi, który stoi w zimnie.

A jak przebiega sama podróż? Czy wy też musicie się do takich wypraw przygotowywać?

Teraz już nie. Ja poza tym cały czas migruję po świecie i dla mnie jest to łatwiejsze. W pierwszych dniach byliśmy w Buczy i Irpieniu, zaraz po tym, jak wyjechali stamtąd Rosjanie. Dostaliśmy się tam tylko dlatego, że pomogliśmy w dwóch jednostkach koło Białej Cerkwi. Pamiętam, że odwiedzili się nam, dając nam auto z żołnierzami na eskortę. To było około 14 kwietnia. To, co zobaczyliśmy - rozbite czołgi, ciała na uli-

cach i usłyszeliśmy - opowieści lokalnego popa przy grobie masowym, po prostu nas... rozbiło.

Jak pan to w ogóle godzi? Jeden kraj gorący i suchy. Drugi zimny i w stanie wojny. Wiem, że wkrótce pan znów wyjeżdża. Nie zapomina pan o Afryce. Kiedy znów Ukraina?

Nie zapominam. Zawsze powtarzam, że powinno się wybierać takie miejsca, gdzie będzie można wracać, by dalej pomagać. Jak się daje nadzieję, to trzeba ją kontynuować. Ze względu na to, że mamy we Lwowie magazyn, czekamy na kolejną listę i jedziemy tylko w dwa, może trzy miejsca w obręb doniecki. I to tyle, bo cały czas skupiam się na dzieciach w Afryce.

Czyli to niejako rozrywające uczucie, wiedzieć, że trzeba kogoś dla kogoś zostawić. I tak cały czas...

Stworzyłem dlatego pewien system pomagania. Pomagać trzeba umieć, ale bez kultu jednostki. Gdy jestem tam, dzieci się cieszą, ale wyjadę nie piszę do nich i nie dzwonię. Nie pozwalam się im do mnie przywiązać, bo co się stanie, kiedy zniknę? Gdy coś mi się stanie? Znam przypadki, kiedy dzieci umierały,



Podczas mojej pierwszej wizyty w Ukrainie dotarło do mnie, że świat się zmienił - mówi Markowski

bo tak się do kogoś przywiązały.

Ale ma pan współpracowników?

Mam lokalnych. Oni informują mnie o opłatach za lekarzy, za szkoły i potrzebach zakupowych. Oni pilnują tego, żeby cały czas działa się dobrze.

A co się czuje, kiedy się pomaga? Spróbujmy zachęcić innych do pomagania...

Wszyscy powinniśmy rozglądać się za możliwością niesienia pomocy, bez względu na to czy to Afryka, czy Ukraina czy...

Czy sąsiad?

Tak, czy sąsiad. Po prostu trzeba się rozejrzeć. W czasie pandemii zjechałem do mojego rodzinnego miasta Ełku i okazało się, że był problem z respiratorami. Skontaktowałem się z prezydentem miasta, wrzuciłem



Warto spytać samych zainteresowanych, czego im najbardziej potrzeba. Dlatego teraz Ireneusz Markowski jeździ blisko Donbasu

pierwszą część kasy, zorganizowaliśmy zbiórkę i w niedługim czasie mieliśmy respirator. Czyli pomagamy tam, gdzie nas akurat potrzebują.

Jak tak pana słucham, to mam wrażenie, że to pomaganie trzeba mieć we krwi. Takiej woli, żeby dostrzec to, co ważne.

Trzeba być asertywnym i określić priorytety, co jest najważniejsze, co chcemy

osiągnąć, tak by na koniec powiedzieć, że było warto.

Jakie pan ma zatem plany na najbliższą przyszłość?

Wracam do dzieciaków na północ Kenii, w „róg Afryki” - tam gdzie Etiopia i Somalia i gdzie jest najgorzej. Kupujemy jedzenie, leczymy dzieci, zoperowaliśmy dwóch młodych chłopców... Cały czas są potrzeby. Dzieci widzą, że ktoś o nie dba. To już jest dużo. Śpie-

wają mi czasem: „jeśli będziemy mieli nadzieję w sobie, to przetrwamy wszystko”.

KapnijdlaAfryki.pl

Jeśli chcesz wesprzeć fundację Irka Markowskiego, wejdź na stronę internetową fundacji Kapnij dla Afryki i dowiedz się więcej.

MATERIAL INFORMACYJNY

0010748695

Kontrowersje wokół unijnych przepisów o emisji metanu

Bruksela pracuje nad nowymi przepisami, które grożą tym, że polskie kopalnie węgla kamiennego mogą zniknąć znacznie szybciej niż się zdawało - nie w połowie wieku (jak uzgodniono przed dwoma laty w umowie społecznej o przyszłości górnictwa), ale już w ciągu kilku najbliższych lat począwszy od 2027 r., kiedy zaczną obowiązywać nowe unijne prawo.

Mowa o rozporządzeniu w sprawie redukcji emisji metanu w sektorze energetycznym, które w grudniu 2021 r. zaproponowała Komisja Europejska. Wkrótce nad projektem dokumentu głosować ma Parlament Europejski (przygotowania chwilowo wstrzymano po ujawnieniu przez brukselskich dziennikarzy skandalu, że przepisy redagowali aktywiści pozarządowej organizacji ekologicznej zamiast uprawnionej do tego europosłanki-sprawozdawczyni z grupy Zielonych PE).

- Przyjęcie unijnego rozporządzenia oznacza likwidację polskiego górnictwa węgla i utratę nawet kilkuset tysięcy miejsc pracy - alarmują związkowcy ze śląsko-dąbrowskiej Solidarności, żądający pilnego spotkania z szefami komisji PE, aby poinformować o zagrożeniu. Apel do europosłów o zmianę projektowanych prze-

pisów wystosował m.in. wicepremier, minister aktywów państwowych Jacek Sasin.

Obawy dzielą też krajowe spółki węglowe, bo aż 80 proc. wydobywanego w Polsce węgla pochodzi z kopalń metalicznych. Wejście w życie zakazu emisji metanu kopalniowego do atmosfery oznaczać będzie dla Polskiej Grupy Górniczej S.A. konieczność likwidacji dwóch trzecich zakładów już w 2027 r., a trzy lata później jeszcze ostrzej z problemem zmierzy się Jastrzębska Spółka Węglowa S.A., gdzie wszystkie złoża są metaliczne.

Dlaczego rozporządzenie wzbudza kontrowersje?

Bo ustanawia niemożliwą do spełnienia normę zawartości metanu w powietrzu wentylacyjnym (najpierw KE proponowała 0,5 tony, teraz 5 ton, a po kilku latach 3 tony na każde 1000 ton wydobytego

węgla, gdy w polskich kopalniach ilości te wynoszą obecnie od 8 do 14 ton). Za każdą tonę emisji metanu powyżej narzuczonego limitu przedsiębiorca zapłaci karę. Jej wysokość określi wprowadzone państwo członkowskie UE, jednak Bruksela wyraźnie wymaga, aby kary te były odstraszające, rosnące i pozbawiały spółkę wydobywczą korzyści gospodarczych. Spekuluje się, że kara może stanowić nawet 20-krotność dzisiejszej opłaty za emisję dwutlenku węgla w systemie ETS, co oznaczałoby ponad 1600 euro za tonę metanu. Wiadomo, że UE nie cofnie się przed żądaniem tak drakońskich kar, jak na przykład w przypadku kopalni węgla brunatnego Turów.

W kopalniach metan ze złóż ujmowany jest ze względu bezpieczeństwa i znaczna część gazu podlega zagospodarowaniu. Gaz miesza się jednak

także z powietrzem wentylującym podziemne wyrobiska i nie ma dziś technologii, które potrafiłyby usunąć go w całości przy ekonomicznie racjonalnych nakładach. Warto dodać, że Unia Europejska odpowiada za mniej niż 10 proc. światowych emisji metanu związanych z działalnością górnictwem, a Polska jedynie za około 1 proc. Europejskie Stowarzyszenie Węgla Kamiennego i Brunatnego EURACOAL podkreśla, że emisje gazów cieplarnianych z przemysłu węglowego spadają od dziesięcioleci i nadal będą zmniejszane według uzgodnionych już planów dekarbonizacji.

Specjaliści górniczy alarmują, że niektóre pomysły europosłów, jak np. zakaz spalania metanu we flarach, czy odpowietrzania w przypadkach awaryjnych, mogą stanowić zagrożenie dla zdrowia i życia pracowników kopalń!

Rozporządzenie niekorzystne dla przemysłu węglowego

Brukselskie rozporządzenie budzi sprzeciw także dlatego, że jawnie dyskryminuje przemysł węglowy w Europie. Otóż restrykcje nie dotkną importerów węgla spoza UE - będą oni musieli tylko zadeklarować emisyjność kopalń pochodzenia surowca, jednak nie przewidziano żadnego sposobu weryfikacji podawanych przez nich deklaracji. Tymczasem nieograniczone przez Brukselę emisje metanu z kopalń na innych kontynentach powiększą się jeszcze o dodatkowy ślad wskutek transportu węgla drogą morską na odległości wielu tysięcy kilometrów. Z importu już teraz pochodzi 70 proc. węgla zużywanego w krajach UE, rok temu sprowadzono go grubo ponad dwa razy więcej niż wydobyto w Europie.

Polscy górnicy oraz stowarzyszenie EURACOAL postulują, by europarlamentarzyści urealnili limit emisji metanu z kopalń (do 8 t na kilotonę wydobytego węgla). Chcą wyłączenia z proponowanych zakazów węgla koksowego, który sama UE wpisała na listę swoich surowców o krytycznym znaczeniu. Domagają się zgody na wysokowydajne spalanie metanu we flarach i awaryjne odpowietrzanie, argumentując, że to konieczne ze względów bezpieczeństwa oraz może znacznie polepszyć (z 30 do 63 proc.) wskaźnik redukcji emisji przemysłowych CH₄ do 2030 r. Związkowcy alarmują, że bez postulowanych poprawek wprowadzenie w życie rozporządzenia zniweczy w praktyce całą umowę społeczną z gwarancjami zatrudnienia i harmonogramem wygaszania polskich kopalń w perspektywie do 2049 r.



POLSKA GRUPA
GÓRNICZA

Węgiel milowy.